

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

Antor zastrzega sobie prawo przedruków i tłumaczeń.

16

Wiem, że to było z mej strony wielkiem zu-chwalstwem a nawet zbrodnią wdziarać się nocą do Twego dziewiczego pokoju i gwałtem kraść poca-lunki z twych ustek różanych, ale ty nie wiesz, o Julio! jakie namiętności, jaką miłość gorącą i ni-gdy nie zapomnianą wzbudziłaś we mnie. Od chwili, gdy cię ujrzałem poraz pi-rwszy, od tej chwili Twój obraz wyrzyty jest na wieki w mem sercu, odtąd o Tobie tylko marzę, o Tobie śnię i nie wiem, czy będę mógł żyć bez ciebie. I jeżeli błagałem cię przez Szydłę, byś mi pozwoliła się ze sobą potajemnie widzieć, to tylko dla tego, by ci wytłumaczyć wszystko i Twój szacunek, piękna Julio, a po sza-cunku i serce może zyskać. Nie zgodziłaś się na to okrutna! więc cóż miałem robić? Co noc z naraże-niem mej wolności i życia krążyłem koło Twego domku w tej nadziei, że Cię ujrzę i przed każdym świtem odchodziłem zawiedziony i smutny, by cały dzień w ukryciu gorzkie łzy wylewać i by z nasta-niem nocy znowu błądzić koło mieszkania boskiej Julii!

Alę na koniec Opatrzność wczoraj ulitowała się nademną. Ujrzałem Cię siedzącą w oknie.

Jakaż to była dla mnie radość! jakie szczęście! widzieć twą piękną twarzyczkę, oddychać tem sa-mem powietrzem, czyż mogłem pragnąć więcej? O! jakże wdzięczny byłem Opatrzności! jak cudo-wną była dla mnie ta noc, ta chwila niezapomniana nigdy i wiecznie wyrzyta w mem sercu! Ale ty, o okrutna Julio! zamiast pozwolić się uwielbiać, chciałaś zamknąć to okno, zasłonić swój niebiański obraz, zniknąć i pogrozić mi w rozpacz. Wtedy ogarnął mnie szal jakiś, miłość dodała mi skrzydeł i ja, com nigdy nie próbował nawet dostać się na drzewo, przełamane wszelkie przeszkody, niewiem już jakim sposobem po wysokich i gładkich ścia-nach zamku, wdrapałem się i znalazłem się obok ciebie, w twoim pokoju. Nieba! miałem cię nako-niec w moich objęciach, z Twych ust różowych ssałem słodycz boską! za me pocałunki, otrzymywa-łem w zamian Twoje! Julio! Julio! najdroższa istoto, niebiańska na ziemię zesłana, jakże ja Cię kocham! Ale okrutna, odepchnęłaś mię od siebie, kazałaś mi wyjść, nazwałaś mię złoczyńcą, pugiłaś wepchnęłaś w serce moje!

Byłem ci posłuszny, bo gdybyś mi kazała w tej chwili umrzeć, umrę z uśmiechem na ustach. Ale ci się wytłumaczyć chcę, odzyskać Twój szacunek. O, gdybyś знаła stan mego serca, nieszczęściem na-pojonego! nigdy nie gorzało ono ogniem tak świę-tym, nigdy dlań Twa niewinność i Twa cnota nie była tak drogą. Kocham cię, czuje to, ale jestem tylko człowiekiem i jest to nad siły ludzkie wyrzec się na wyższej szczęśliwości. Ta noc, ta jedna noc na zawsze zmieniła mą duszę. Gdybym to wspom-nienie miał wcześniej, byłbym cnotliwym. Ale ta noc fatalna siedzi w głębi mego serca, noc nieza-pomniana! O Julio, ubóstwiana istoto! nie gniewaj się na mnie, na moje słowa wyrzeczone wtedy. Chcę cię mieć, chcę byś była moją, wszystkich sił użyję, by do tego dojść, ale gwałtu się wyrzekam. Przebacź boska Julio!

Nazwałaś mię złoczyńcą. Tak każdy sądzi i ty tak sądzisz, ale pragnę Ci otworzyć serce moje. Nie byłem przecież mnichem, burza życiowa zapę-dziła mnie do klasztoru, chciałem nieszczęścia moje pokryć kapturem mniszym, ale nie myślałem zostać tam na zawsze, bo wkrótce, patrząc na to, co się dzieje, uczułem obrzydzenie do tych ludzi. Próżniac-two, obżarstwo, pijaństwo, oto ich życie. W tem jeden z moich przyjaciół doniósł mi, że Cesarscy mają napaść na Księstwo Warszawskie, że trzeba braciom z za Pilicy dopomódz, wywołać w Galicyi powstanie, ale niestety! brak potemu broni i pie-niędzy. Wiedziałem, że mnichy mają skarby, które leżą beużytecznie, chyba na to, by poili się le-piej i lepsze za ten grosz wina spijali. Wtedy po-wiedziałem sobie, że dla Ojczyzny trzeba tych skar-bów użyć i póty ich szukałem, aż je znalazłem, a że zabrałem je pokryjomu, to dla tego, że chciwe mnichy nie byliby ich oddali. Oto moja zbrodnia, sądz sama, sądz najsumiennie, czym złe, czy dobrze zrobił. Powstanie w Galicyi wprawdzie nie wybu-chnęło, ale wojna jest i nasi bracia muszą się zma-

gać z przeważnym nieprzyjacielem. Jutro stąd jadę za Pilicę i skarby zabrane oddam księciu Józefowi na obronę zagrożonej Ojczyzny.

Wiem, że mię Twój dziad szukać i chwycić ka-że, wiem, żeś potajemnie prosiła Szydły, by tego nie czynił. To obudziło może zwodniczą nadzieję w mem sercu, że jesteś mi przyjazna, że nie wie-rzysz w mą zbrodnię mniemaną, że z czasem może mię pokochasz. O słodka nadziei! gdyby nie ty, da-wnoby już nie żył. Julio! boska Julio, bądź zdro-wa, bądź zdrowa...

Twój do śmierci

Tomasz Gaworowski, w zakonie zwany Gwidon.

Takim jest ten okropny list, który czytając czu-łam, że mi twarz goreje od wstydu. „Z twych ust różowych ssałem słodycz boską, za me pocałunki otrzymywałem w zamian twoje!“. Czyż przerysując te wyrazy, nie miałam się czego wstydić? I gdy-by jeszcze o tem nie wspominał, gdyby nie opisy-wał mej chwilowej słabości, mego przerażenia, me-go omdlenia jakiegoś, nie! on to opowiada, powie-rza mój wstyd i moją hańbę zimnemu papierowi. O niegodziwości wielka. Wszak on dobrze wie, jak wiedział przed wiekami jego domniemany ojciec, mnich Dolabella, że ja tu byłam niewinna, jak nie-winna była moja nieszczęśliwa praprababka! A jed-nak ona śmiercią okrutną odpokutowała za niepo-pelnioną winę, czemuż ja odpokutuję? Ponieważ do-tąd mój los, przez dziwną jakąś fatalność, jest tylko powtórzeniem losu mej praprababki, więc nieomal pewną jestem, że taki sam koniec mię czeka. O tak! nic mi nie pozostaje jak umrzeć! Śmierci! okrutna śmierci przybywaj!

Dnia 29 kwietnia 1809 r. Ciągłe i wy-łącznie zajęta jestem Gwidonem i jego okropnym listem, zastanawiam się i rozbieram w myśli wszyst-kie jego szczegóły, wszystkie nieomal wyrazy, i choć oburzam się, a raczej (bo czemuż to sama przed sobą mam ukrywać?) usiłuję się oburzać na jego zu-chwalstwo, na to, że ośmielił się do mnie pisać to jednakże... Ośmielił się pisać! ależ on ośmielił się na większe rzeczy, on ośmielił się nocą dostać do mego pokoju, całować mnie i gdyby nie wspomnie-nie takiejże samej sceny z życia mej praprababki, to nie wiem, na czemu by się to skończyło. Cóż wobec tego znaczy jakiś tam list, który każdej chwili mo-gę wrzucić do pieca i spalić. A przecież nie uczy-nię tego. bo...

Ale co to o tem mówić! czy ja wiem dlaczego nie chcę tego zrobić? czy ja wiem wreszcie co się ze mną dzieje w tej chwili, gdy pola i lasy dyszą życiem wiosennem i przez otwarte okno mego po-koju wpada ciepły, ożywczy prąd odradzającej się natury? Bo chociażbym nie wiem jak się zapierała, to jednak przyznać muszę, że list ten wywarł na mnie potężne, wszystko pochłaniające wrażenie. Kie-dyś na pensyi pani Campane czytywałam potajem-nie „Nową Heloizę“ pana Rousseau'a (Boże! — ileż ja też nad nią wylałam), a przecież zdaje mi się, że list Gwidona jest o wiele piękniejszy, namięt-niejszy niż wszystkie listy kochanka, przez poetę wymarzonego. Ileż tam życia, ognia, namiętności, uczuć tkliwych! Nie, nie wątpię, że ten człowiek z ślicznymi czarnymi oczami, z brodą przepyszną, kocha mię gorąco, nie wątpię, że to co napisał o skarbach, jest prawdą. I słusznie zrobił, że je za-brał. Wszak ponure mnichy ich wcale nie potrze-bują, bo o ile wiem, reguła nawet surowo im za-kazuje starania się o dobra ziemskie i mamotę, jak mawiał a b b e Constaunt na pensyi. Pan Jezus, któ-rego oni są niby naśladowcami, żył w ubóstwie i pieszo chodził. Bardzo słusznie zrobił pan Tomasz, że im pieniądze zabrał, bo tym sposobem odebrał im możliwość zgorszenia, popełniania grzechu i prze-lamywania reguły. A przytem czyż on te pieniądze zebrane nieprawie przez próżniących mnichów, dla siebie zagarnął? Nie on je chciał użyć na dobro kraju i odda je księciu Józefowi.

O tak! jestem smutna, bardzo nawet smutna, ale zarazem dumna i szczęśliwa. Czyż przypuszcza-łam kiedy, czyż mogłam przypuszczać, że we mnie kochać się będzie dwóch najpiękniejszych, jacy są na świecie, mężczyźni? Wątpiłam, nie wierzyłam nigdy w moją diabolique beauté. jak mówi Hortence, a jednak, musi to być prawda. Ha! niech się co chce dzieje, ja przeciw przeznaczeniu nic zrobić nie mogę.

Dnia 4 maja 1808 r. Dziadunio, który ciągle jeździ, dla zasięgnięcia, jak mówi, języka, przywiózł wczoraj wiadomość, że nasze wojsko polskie z księ-ciem Józefem na czele, stoczyło przed dwoma mniej więcej tygodniami zaciętą bitwę z cesarskimi pod

Raszynem, że zginął tam jakiś pułkownik Godebski, że się nasi przeważnym siłom nieprzyjaciela poko-nać nie dali, ale zmuszeni byli do ustąpienia „kaj-zerlikom“ (tak śmiesznie dziadunio nazywa Austrya-ków) Warszawy. Księżę Józef cofnął się za Wisłę i co będzie dalej, niewiadomo. Dziadunio jest ogro-mnie rozgorączkowany, wygaduje niestosowne rze-czy na Austryaków i zapewnia, że Cesarz Napoleon zada im „fernepiksu“. Co to znaczy, nie wiem, ale musi być coś okropnego, bo dziadunio wymawia te wyrazy z naciskiem, zgrzytając zębami.

Pozatem niema żadnej wiadomości. Co do mnie uspokoiłam się znacznie, przestały mię wraz ze zni-knięciem ponurej zimy, trapić różne przywidzenia. Nie myślę już o tragicznych losach mej praprababki, oglądam spokojnie i bez trwogi jej dziwaczny por-tret, zwany „cieniem“, nie drzę na myśl błakającego się jej widma po kurytarzach zamkowych. O kawa-lerze Dolabelli i panu Tomaszowi Gaworowskiemu nic nie wiem, od Hortence, zapewne z powodu wojny, nie odbieram żadnych listów, i koło mnie jest cicho i spokojnie. Czasem ogarnia mię bojaźń jakaś przed jutrem i mówię sobie, że jest to cisza przed burzą. Ale z drugiej strony wiem, że przeciw przeznacze-niu nic nie poradzę, że co napisano w górze, jak powiada stara Gruszkowska, to spełnić się musi.

Do mego wewnętrznego uspokojenia, do rozpro-szenia posępnych mar, które mię dręczyły, przyczy-niła się zapewne prześliczna wiosna, jasne słońce, życie kipiące wszędzie bujnie. Z okien moich apar-tamentów widzę lasy zieleniące, wesole, oblane blaskami gwiazdy dziennej. Ciepło jest, rozkosznie, świeżo! Ponieważ Gwidona już niema w tych stro-nach, więc nie tylko całe dnie, ale i część nocy spędzam w parku. Dnie są przepyszne, ale noce mają niewysłowiony dla mnie urok. Są one jasne, księżycowe, woniejące zapachem bzów, róż i fiołków rozśpiewane trelami słowików. Cały park pokrył się zielenią i ogromne, odwieczne graby i brzoisty pu-szczyły mnóstwo liści, młodzieńczą żywością barw błyszczących, a wśród nich niezliczona ilość ptactwa wesolo świergotce. Aleja niegdyś strzyżona na wzór ogrodów wersalskich, dziś nieco zaniedbana, tu i ow-dzie wystrzelająca niesforne gałęziami, robi jed-nak wrażenie wielkopańskie i dziwaczny tworzy kontrast z feudalną, średniowieczną strukturą zam-ku. Lubię po niej chodzić, bo jest szeroka i pro-wadzi do stawu, a przytem posiada kilka posągów z piaskowca ciosanych, mocno zniszczonych, zielo-nawą pleśnią pokrytych i w tem zaniedbaniu śmie-sznie wyglądających w swych pozach pretensjonal-nych i wykrygowanych. Nie bardzo wiem, kogo i co one przedstawiają, bo nie lubiłam uczyć się mito-logii; poznaję tylko boginię Wenere bezwstydnie zakrywającą rękami swe wdzięki, grubą i tłustą, zabrudzoną, z obtłuczonym nosem, a na jej dużych nagich piersiach, jaskółki gniazdo sobie ulepiły; ow-dzie sterczy jakiś potwór niezgrabny, pół kobiety, pół węża, coś niby na Syrenę wyglądający, cały zielonemi smugami poplamiony, z napisem na pie-destale „Echidna“. Nie słyszałam nigdy o takiej Echidnie. Nad stawem znowu pół leży naga kobieta, którą łabędź laskotliwie obejmuje skrzydłami i dziobem w usta całuje. Napis głosi, że to jest Leda, o której to i owo wiem, ale tu nie napiszę... Jest tu i nagi posąg Apolina, ale tak nagi z takim realizmem odtworzony, że nawet figowego liścia mu rzeźbiarz nie dorobił. Nie rozumiem, po co takie bez-wstydnne figury popostawiano w tym parku. A ja błądę wśród tych posągów, wśród zieleni, wdycham w siebie, upajam się wonią roślinności, całe dnie nad stawem na kamiennej ławce przepędzam, marzę i czytam historię kawalera Faublas... Co prawda, głowa mię zawsze po tem czytaniu boli...

Wieczorami, jeżeli dziadunia niema, co się teraz często przytrafia, przesiaduję na tarasie zamkowym z Zuzią, która widocznie pogniwiała się o coś na pana Alfonsa Dziurkiewicza, bo nie biega do oficyny. Zwykle bierze ona gitarę i brzdąka na niej i nuci, dość miłym głosem, sentymentalną arję o Laurze i Filonie, a te słowa:

„Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły
I coś tam klaszcze za borem...“

Dziwnie odpowiadają mojemu otoczeniu i uspo-sobieniu. W ogóle mówiąc, jestem smutna, trochę się nudzę i pełna złowieszczych przeczuć. Mój Boże co mi jutro przyniesie?

Dnia 30 maja 1809. Wstałam dopiero z łóż-ka, w którym ciężko chora leżałam przez kilka dni, wskutek strasznego, wstrząsającego wrażenia i prze-strachu, jakiego doznałam. Kilku tygodniowy spokój i cisza, brak wszelkich zdarzeń, zdawał mi się za-powiadać lepszą przyszłość, gdy nagle, niespodzie-